

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.

Sprzedaż materyałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

17

By zrozumieć należycie to ostatnie zdanie, trzeba zwrócić uwagę na to, iż Panajon był bardzo miernym strzelcem. Będąc prawie pewnym, iż kula jego nie trafi do celu, choćby nawet stał niedaleko od niego, żądał przy pojedynku dużego dystansu. Nie trafił przeciwnika przy takiej odległości, ale w ten sposób sam się zabezpieczył od jego kuli! Ubezpieczywszy się co do rezultatu spotkania, przedsięwziął środki, by olśnić zgromadzonych swoją wielkodusznością a zarazem i celnością. W tym właśnie celu wyszukał wśród swych narzędzi złodziejskich, świder grubości kuli pistoletowej i wręczając go wraz z ślepą latarką Tetardowi, polecił mu, by w afiszu na ogrodzeniu welodromu wyświdrował dziurę w kropce nad „i“ lub w środku „o“. Tetard wykonał w nocy z łatwością to zlecenie, dzięki czemu Karol Turner mógł nazajutrz zadziwić wszystkich swoją niezrównaną celnością.

XI.

Samochód ruszył znowu prędzej i zawiązała się przerwana na chwilę rozmowa.

— *Well! sir! you are!* — zaczął mniemany król czekoladowy, zwracając się do sekretarza Lewisa Jacksona. Przypomniał sobie jednak, iż Garrigue i markiz wspominali, iż nie znają dobrze angielskiego języka. Przerwał też zaraz i zwracając się do swych świadków, mówił dalej:

— Ach! przepraszam! A więc, panie Smith i pan prowadzi rozmaite przedsiębiorstwa?

— Tak, panie.

— A jakie mianowicie, jeżeli to nie jest niedyskrecją?

— Najrozmaitsze! — odpowiedział Smith, który rzeczywiście z polecenia swego pryncypała, zajmował się najróżnorodniejszymi sprawami.

— Ach! tak, bardzo pięknie! — rzekł Panajon z pewną zazdrością.

Uważał się obecnie za bardzo skromnego przemysłowca ze swą czekoladą, wobec takiego uniwersalnego businessmana. Bał się, czy nie wygląda teraz na jakiego przekupnia.

— Och! — zaczął mówić znowu — mam w głowie inne jeszcze plany, nie ograniczam się tylko do swej fabryki w Melbourne! Naprzykład! W tych dniach muszę jechać do Bordeaux, by założyć tam nową winnicę...

— Jakto — zapytał Garrigue — założyć nową winnicę?

— Ma się rozumieć — mówił obojętnie Panajon. — Mam zamiar zakupić w samym środku miasta, w miejscu najbardziej uczęszczanym przez turystów, większy obszar ziemi... Wystawię tam mały zamek i dokoła niego zasadzę winnice... Będzie to zamek Bordeaux z jedynym na świecie winem... Wszyscy cudzoziemcy w przejeździe przez Bordeaux będą się tem zachwycali... W krótkim czasie zamek ten stanie się sławnym...

— Niezła sprawa! — potwierdził Smith, który widział, jak w rękach Lewisa Jacksona udają się daleko ryzykowniejsze interesy.

Garrigue i markiz słuchali tego z szeroko rozwartymi oczami.

— Lecz — przerwał markiz — czy w środku miasta znajdzie pan do kupienia niezabudowane place?

— Jeżeli będą zabudowane, to każę je burzyć... Każdy dom w pobliżu tego miejsca padnie w gruzy...

— Metr kwadratowy będzie pana dość kosztował! — zauważył markiz.

— Mniejsza z tem! I tak będę miał z tego wielkie dochody! Niech pan zwróci i na to uwagę, iż pod etykietą swego zamku Bordeaux, będę sprzedawał wino nie tylko pochodzące z tej, z konieczności ograniczonej winnicy!

— Myśl ta nie jest zła! — powtórzył Smith.

— Przepraszam! — podtrzymywał swe zdanie de Beaudicourt. — Zdaje mi się...

Nie dokończył i pozostał z ustami otwartymi, z oczami utkwionymi przed siebie, z ruchami unieruchomionymi przez gest w dyskusji.

Można było sądzić, że dostał jakiego porażenia.

— Markizie! — zawołał Panajon. — Co panu jest?

Markiz wyciągnął rękę i palcem wskazał na Tetarda, który siedział przy szoferze, zwrócony swymi herkulesowymi plecami do okna samochodu.

— Co takiego? — dziwili się wszyscy.

— Tam!... — zdołał wreszcie wymówić stłumionym głosem pan de Beaudicourt. — Ten człowiek!...

— Ten człowiek?...

— Zwrócił na chwilę głowę do szofera, by mu coś powiedzieć... Poznałem go... Jest to złodziej!

— Złodziej! — zawołał jednocześnie Panajon, Garrigue i Amerykanin.

— Tak, tak! Złodziej, który napadł na mnie pewnego wieczoru na Polach Elizejskich. Och! Nie myślę się. Te wielkie niebieskie oczy i ta bestjańska twarz takie na mnie wywarły wrażenie, iż nigdy ich nie zapomnę!

— *Hallo!* — rzekł Joe Smith. — To jest niemożliwe!

— Złodziej? — powtarzał Garrigue.

— Musimy zatrzymać się przy pierwszym policyjancie, którego zobaczymy — mówił dalej markiz.

— Przepraszam! — odezwał się Australczyk, wyciągając rękę. — Czy jest pan pewny tego, co pan mówi, markizie?

— Zupełnie.

— Co on panu zabrał?

— Woreczek.

— Ile w nim było?

— Dwieście trzydzieści pięć franków — odpowiedział markiz.

— *All right!*

I Panajon z najobojętniejszą miną, mimo zwróconych na siebie zdumionych wejrzeń, wyjął portfel, dobył z niego odpowiednią ilość banknotów i wręczając je panu de Beaudicourt, rzekł:

— Oto należna suma... Co zaś do woreczka, to odeślę taki, który, jak sądzę, będzie się panu podobał...

— Panie... — zdziwił się markiz. — Co to znaczy?

— Znaczy to, iż mój służący jest najprawdopodobniej złodziejem... Nie jestem tem bardzo zdziwiony... Został mi on polecony przez Towarzystwo opieki nad uwolnionymi więźniami, którego prezesem, jak panowie wiedzą, jest nasz przyjaciel Maksym Duret...

— Rozumiem już!

— Lecz — ciągnął dalej Panajon — czy jest on złodziejem, czy nie, służy mi dobrze i bardzo byłoby mi nieprzyjemnie przyjmować teraz nowego służącego... Dlatego też, markizie, chcę zwrócić tę sumę i proszę, by pan nie wzywał żadnego ajenta...

— Jak pan chce, drogi panie! Cieszę się, że mogę coś dla pana zrobić! — mówił markiz, który nie chciał niczego odmawiać tak wybitnemu przemysłowcowi. — Proszę jednak, niech pan zatrzyma te pieniądze.

— Nie, nie. Tobo mnie żenowało bardzo. Proszę przyjąć.

I markiz de Beaudicourt odzyskał swe dwieście

trzydzieści pięć franków. Półtora miesiąca temu Tetard ograbił go z tej sumy. Herkules od godziny już włóczył się po Polach Elizejskich, gdy nagle znalazł się wprost poważnego jegomościa, bardzo elegancko ubranego. Zażądał od niego zaraz woreczka, a spóźniony ten przechodzień spełnił natychmiast to żądanie, owładnięty takim strachem, iż nie mógł wymówić ani słowa. Tetard kazał oddać sobie i portfel, lecz markiz znakami odrzekł mu, że nie ma go i omal, że nie zemdlął, gdy poczuł, jak grube palce opryszka rewidują mu kieszenie. Samo wspomnienie o tem wstrząsało markiza. Na widok też Tetarda uczuł, jak go zimny pot oblewa. Podczas dalszej jazdy zachowywał najzupełniejsze milczenie, nie mogąc oderwać oczu od szerokich pleców i grubego, jak u wotu, karku tego służącego. Dopiero po przybyciu do restauracji, gdy nie miał już przed sobą tego widoku, odetchnął głęboko i zaczął rozmawiać.

Śniadanie było wspaniałe. Goście dla zaostrezenia apetytu wypili naprzód po dużym kieliszku rosyjskiej wódki. Joe Smith wypił dwa kieliszki. Amerykanin wogóle nie przestawał zadziwiać swych towarzyszy, pijąc jeden kieliszek po drugim i czując się zupełnie przytomnym. Stare wina francuskie nie wywierały żadnego wpływu na ten organizm, przyzwyczajony do szalonych trunków amerykańskich.

Po skończeniu uczty koło drugiej godziny wszyscy opuścili hotel. Pan de Baudricourt, siadając do samochodu, stwierdził z radością, że koło szofera nie widzi już tego niebezpiecznego służącego.

W kilka chwil potem panowie ci wchodzili już do salonów sławnego klubu „Neurasteników“. Młody Garrigue był jego członkiem. Raul de Lagunan przybył zaraz po nich. Obydwaj czynili honory domowi markizowi, a zwłaszcza Karolowi Turnerowi, któremu nie udało się jeszcze wejść tutaj.

Klub „Neurasteników“ na pierwsze wejście podobny był do pierwszego lepszego klubu paryskiego. Składał się z pewnej liczby obszernych salonów, urządzonych wykwiśnie i z dobrym gustem, umeblowanych wygodnie, z rozstawionymi na każdym kroku wielkimi, szerokimi, elastycznymi fotelami, w których można było spać nie gorzej, niż w łóżku.

Smith, który nie znał tak dobrze francuskiego, jak Turner, dziwił się tylko, skąd podobna nazwa mogła przyjść do głowy założycielom klubu. Pokazując sale gry, Raul de Lagunan rzekł do Australczyka:

— Za kilka miesięcy będziemy grali tutaj w muchy...

Zapytany przez Smitha, markiza i Garrigue'a, co to znaczy, wytłómaczył nową grę, o której dowiedział się od Panajona.

— Musimy zagrać jedną partycję! — zawołał zachwycony tem Amerykanin.

— Partycję czego? — zapytał baron.

— W muchy.

— Zagramy niejedną, jeżeli tylko będzie pan jeszcze tutaj latem.

— Nie będzie mnie tu... Musimy zagrać najpóźniej za dwa tygodnie...

— Tutaj?

— Tak. Zatelegrafuję zaraz do Buenos-Aires, gdzie teraz jest sezon na muchy, by mi przysłano pierwszym okrętem w pudełku kilka milionów much. Jeżeli odpowiednio je zapakują i będą ogrzewali kajutę, dojeżdżając do Francji, to będziemy ich mieli na długo. Trzeba będzie tylko utrzymywać odpowiednią temperaturę w sali gry...

(Ciąg dalszy nastąpi)